Czekam na cud. Jan Darowski (1926-2008).

W drukarni Oficyny Poetów i Malarzy w Londynie, od lewej: ksiądz Jerzy Sikora, Czesław Bednarczyk i Jan Darowski, fot.

arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

Jan Darowski był jednym z najciekawszych młodych polskich poetów londyńskich w połowie ubiegłego wieku. W późnych latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych brał istotny udział w kształtowaniu i uświetnianiu pism młodych: "Merkuriusza", a później "Kontynentów". Jako oryginalny poeta i wnikliwy krytyk wnosił świeże, odkrywcze spojrzenie, niebanalną myśl, wiele serca oraz gruntowną znajomość warsztatu drukarskiego.

Kiedy Czesław Miłosz cytował w "Tygodniku Powszechnym" jego wiersz *Post mortem,* komentował:

> Żaden tak gorzki i okrutny wiersz nie został napisany w Polsce

i dodał:

> czytelnicy krajowi nie znają ani nazwiska Jana Darowskiego, ani wielu nazwisk poetów piszących poza krajem.

Darowski był także znakomitym tłumaczem. Może Miłosz

przypomniał sobie w roku 2003, jak świetnie kilkadziesiąt lat wcześniej przełożył jego wiersze na język angielski? Zauważył to dawno temu Aleksander Janta, który w liście do wydawcy kwartalnika „Oficyna Poetów i Malarzy”, Czesława Bednarczyka, napisał:

> Gratuluję numeru. Darowskiemu zwłaszcza Miłoszowskiej wkładki. Czesław (sądzę, że miał na myśli Miłosza – FS) powinien się puszyć. Bardzo dobre wiersze: poeta w poetę.

Za najlepszego tłumacza na język angielski uważał Darowskiego także Kazimierz Wierzyński.

Do przekładania Darowski podchodził niezwykle sumiennie i poważnie. Kiedyś tłumacząc jeden z moich tekstów skarżył się na kłopoty z nim.

> Intencja tego wiersza jest dla mnie wciąż niejasna, a póki tego się nie wie, albo nie zgadnie, to nie ma co marzyć o śmiałym, rzetelnym przekładzie tj. w sensie prawdy ducha, a nie litery.

Twierdził też, że:

> …tłumacz musi wiedzieć dużo, dużo więcej niż autor, który często nie zna (nie musi znać) źródeł swych inspiracji i dróg, którymi doszedł do wyrazu. Tłumacz musi je znać, tj.wytropić lub trafnie odgadnąć.

Jan Darowski urodził się w 1926 roku w Brzeziu koło Raciborza na Górnym Śląsku. W Anglii pracował jako drukarz, a później jako kontroler w fabryce broni. Związany z grupą młodych poetów publikował wiersze i prozę w miesięcznikach "Merkuriusz Polski", "Kontynenty", w kwartalniku "Oficyna Poetów i Malarzy" oraz paryskiej "Kulturze". Opublikował dwa zbiory poezji *Drzewo sprzeczki* (Londyn 1969) oraz *Niespodziewane żywoty* (Londyn 1990). Nagrodzony został na konkursie im.Tadeusza Sułkowskiego w 1968 roku.

Mało zabiegając o druk i nie wysuwając siebie stoicko akceptował dolę i niedolę pisania na emigracji w niedopolszczonym, odciętym od pnia języku. Nie miał złudzeń co do wagi literatury we współczesnym świecie, któremu poeta nie potrafił oferować zdobyczy równych osiągnięciom elektroniki, astrofizyki czy medycyny.

Niekiedy próbowałem podrzucić mu interesujące artykuły i książki. Dziękował mi, ale odkładał je na później. Odmawiał doraźnego czytania. Lękał się interferencji. Bał się, że każda

książka zostawia ślad. Chciał pisać tylko z autopsji.

Jednym z tematów poruszanych przez młodych Polaków, przebywających na emigracji w Londynie wobec panującego w Polsce komunizmu, było przyjęcie języka angielskiego za język swojej twórczości. Zastanawiali się nad zrezygnowaniem z polskiego. Dobre opanowanie języka angielskiego oraz przykład starszych kolegów, jak Jerzy Pietrkiewicz, kazały marzyć o możliwościach bardziej ambitnych, o dwujęzyczności.

Darowski wtedy napisał artykuł "Nieobecność i kara". Kazał w nim odrzucić wszelkie takie mrzonki. Wołał:

> W jakim społeczeństwie jesteśmy dostatecznie obecni, aby móc być jego nie tyle prawdomównymi, co autentycznymi świadkami. Do Polski należymy przez język i z konieczności przeżywamy jej sytuację historyczną jako serię abstrakcyjnych pojęć, jako sytuację zasadniczo językową. Nasze obcowanie ze społeczeństwem brytyjskim jest „obcowaniem" głównie w tym sensie, że jesteśmy sobie wzajemnie obcy. Mówimy dobrze po angielsku, co nie znaczy, że oni nas są w stanie zrozumieć i odwrotnie.

I dodał dobitnie:

> Aby działać w społeczeństwie brytyjskim, trzeba nam było pożegnać się z polskim podwórkiem, zatkać uszy na jego gwar, tłumić w sobie celowo i systematycznie wszystkie atawizmy z niego pochodzące, przynajmniej do czasu zapuszczenia korzeni w nowym społeczeństwie. Albo trzeba było wrócić do Polski… Bez wspólnego języka z Anglią i bez wspólnej treści z Polską – żegnaj nasza prozo.

Darowski był jednym z najciekawszych młodych poetów londyńskich, którzy w połowie ubiegłego wieku pojawili się na horyzoncie emigracyjnym. W pierwszym tomiku głosił:

Klucz też ma swoje chóry

> jeśli go wrzucić w dość głęboką studnię
>
> i o nim zapomnieć
>
> śpiewa wtedy zatopione pieśni Atlantis
>
> i piękny jest

> i jego żurawie wracają

Tak jak wielu emigrantów wojennych nie pojmował rosnącego pędu Polaków do opuszczania Polski. Dziwiły go ich pretensje do kraju i narodu. Emigracja żołnierska nie opuściła ojczyzny z powodu koniunktury i pustych sklepów w Polsce. Biedowała i tęskniła, czuła rozłąkę, chciała wrócić, a nie do pomyślenia było gremialne pragnienie, by stać się cudzoziemcem.

Jako jeden z niewielu nie odwiedził po wojnie swoich rodzinnych stron. Najpierw na przeszkodzie stały różne sprawy osobiste, potem przeszkadzały problemy zdrowotne. Kiedy się z nimi uporał, zaczął starać się o polski paszport, by w 1993 r. wybrać się do Brzezia. Plany te udaremnił ciężki udar i inne poważne dolegliwości, kazały mu pożegnać się z myślą o wizycie. Odwiedziny siostry odnotował nieco szorstko jako koniec tęsknoty do przeszłości.

> I tak jej nie ma, prócz w mojej głowie, gdzie lepiej żeby została. Tam może jeszcze coś twórczego z niej wyniknąć. Nie ma sensu konfrontować przeszłości z teraźniejszością. Teraźniejszość niewiele na tym zyskuje, a przeszłość wszystko traci. To wszystko, co jest w niej dynamiczne, zapładniające wyobraźnię.

Spytałem go, czy nie tęskni do swojej małej ojczyzny, do Górnego Śląska, czy nie inspiruje jego wierszy. Odpowiedział, że z myślą o swoich stronach pisze, ale nie wedle kanonów pisania wierszy regionalnych.

> Może kiedyś, gdy zupełnie przeminie tamten kopalniano-hutniczy świat i stanie się legendą.

I wskazał na wiersz *Powroty*.

> Kto to są ci, którzy „o'Eos różanopalcej" nie słyszeli nigdy. Jeśli nie widzisz tu „prostych ludzi", hut, kopalń, trudów i śmiertelnych niebezpieczeństw w codziennym życiu, tej starości na działce podmiejskiej czy w wiejskim ogródku, tych niespełnionych marzeń i przegranych lat, to co możesz tam widzieć? Ja myślałem o naszych ludziach, którzy szli do kopalń i fabryk polnymi drogami, latem czy zimą, pieszo, po kilkanaście kilometrów, o ciężkich szychtach, sześć dni w tygodniu między Scyllą chłodu i Charybdą głodu sześć dni w tygodniu, „Ścięgnami przywiązani do swych kręgosłupów", ich dzieci w uszach miały wosk przeciwko wszystkim zewnętrznym pokusom i nawet szeptom wewnętrznym, by nie tracić odwagi, nie poddać się, do końca trzymać się trudnej, życiowej drogi, ginąć w walących się sztolniach, a

> gdzie indziej od wylewających się hutniczych pieców strumieni żelaza. Bo takie było już u nas życie… Wziąłem odważnego i cierpliwego Odyseusza na katalizatora tych uczuć i epicki język Homera sam się w to wsunął. Bo w jakim języku miało to być wyrażone?
>
> Ale dla mnie życie naszych ludzi było bardzo (bo bezwiednie) heroiczne: język, który się temu narzucił zupełnie mi odpowiada. Nie czuję w nich fałszu ani nawet przeciągania. Dlaczego nasz wschodni hreczkosiej może zasługiwać na epicki język, ale nasz górnik nie? Nie wszystko w Homerze jest o bogach i herosach. Pulsują też życiem w jego heksametrach zwyczajni ludzie: służba, rybacy, rolnicy. I nie są mniejsi dla mnie niż ci szlachetni tam zabijacy.

Darowski pamięta swojego polonistę ze szkoły powszechnej, który otwarł jego głowę na świat twórczego słowa. Jemu i matce, o której powie, że była bardzo religijną kobietą, tylko szkołę podstawową ukończyła, ale nie spotkał w życiu ani mądrzejszej, ani bardziej kulturalnej. Im najwięcej z wszystkich ludzi duchowo zawdzięczał. Oświadczył również:

> Wiersze brzesko-górnośląskie i prozę pisywałem, pisuję i będę pisywał zawsze, bo ten świat jest moim kamieniem probierczym wartości wszystkiego w życiu, szczególnie w

> polskim.

Złe zdrowie z czasem zaczęło ograniczać wiele jego aktywności. Także naszą korespondencję. W ostatnim liście napisał:

> Otóż jakiejś nocy wpadłem do jakiegoś głębokiego dołu i leżę na dnie. Gdzieś wysoko nade mną dzieje się życie i nawet słyszę czasem moje imię. Ale cóż z tego. Trzymam się za pokaleczony łeb i słucham nieustannego w nim szumu, od którego nie ma nigdzie ucieczki. I czekam na cud.

Tego cudu wszyscy mu życzyliśmy przez dziesięć lat. I on też miał nadzieję.

Gdzie szukać rękopisów Jana Darowskiego?

Florian Śmieja

Jan Darowski, skromny polski emigrant, poeta, krytyk i tłumacz,

duch niezależny, człowiek o rozległych horyzontach zainteresowań, zmarł w Londynie. Pozostawił po sobie dwa zbiory wierszy, kilkadziesiąt przekładów poezji i garść esejów i wywiadów drukowanych w czasopismach.

Jeżeli nie zachował wśród swoich papierów rękopisów wspomnień i esejów krytycznych, nie będzie łatwo do nich dotrzeć, jeżeli się jeszcze znajdują w posiadaniu redakcji lub osób prywatnych.

Byłem przyjacielem Janka, dużo z nim rozmawiałem, a później utrzymywałem z nim długo korespondencję. Może zapamiętane strzępy rozmów i fragmenty listów pomogą trafić na ślady tekstów przez niego napisanych i kolportowanych bez sukcesu i skierują w miejsce, gdzie mogły się uchować i przetrwać świadcząc o zamiłowaniach i ekspertyzie autora.

***

Kiedy mieszkałem tak jak Darowski w Londynie w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, o spotkania było nietrudno. Odwiedzałem go w jego domku niedaleko Clapham South. Potem przeszkodziły perturbacje rodzinne, do których doszły jego słaby wzrok i liche zdrowie. Zaprosiliśmy go do naszego domu w środkowej Anglii, kiedy przeniosłem się pod Nottingham, bo na tamtejszym uniwersytecie dostałem pracę. Darowski opisał swoją wizytę ze zwykłą sobie szczodrością:

> Nie zapomnę nigdy mojego pobytu u was w listopadzie 1967 roku, kiedy wszystko u mnie było jedną bolesną miazgą, a wy zaopiekowaliście się mną z taką delikatnością i wyczuciem mojej sytuacji, że z ręką na sercu mogę powiedzieć, że w życiu nie zaznałem lepszej opieki.

Po przeprowadzeniu się do Kanady odwiedzanie go w Londynie stało się rzadsze, choć nie ustało, a kiedy zostałem ojcem chrzestnym jego najmłodszego syna, Michała, przybył dodatkowy temat do rozmów i potrzeby kontaktu.

Przenosiny za Ocean bardzo się Darowskiemu nie podobały. Przyrównał je do przesiadki z wikingowskiej łodzi (logo „Kontynentów) do nowoczesnego statku transatlantyckiego. Strofował mnie, że stałem się nieuchwytny "zamiast spokojnie siedzieć w kapciach w swoim gabinecie i pisać" oraz „Gdybyś się tak ciągle nie wiercił i nie ganiał po świecie, to dostałbyś ode mnie listy i krótkie, i częstsze". A tak listy były rzadkie i długie. I jak ich autor, bezpośrednie i bez kokieterii. Choć nie bez modulacji dumnej skromności.

Nie zazdrościł mi podróży, widoków i wrażeń. Raczej beztroskiej swobody ruchów zdrowego człowieka. Po fatalnym bowiem ataku i utracie przytomności przed domem, czekała go długa i bolesna kuracja. Kiedy wreszcie wypuszczono go do domu, musiał w

kieszeni nosić żółtą kartę na wypadek zranienia, tak aby mogli mu dać w ambulansie zastrzyk stężający krew. Czuł się więźniem i bał się sam wychodzić na spacer. Marzenie o podróży do Polski przepadło. Darowski wzdrygnął się na myśl, że może znaleźć się w przykrych tarapatach na polskiej ulicy.

> Kto umiałby w Polsce tę kartę odczytać i komu by się chciało nią przejmować. Tutaj jestem otoczony rodziną i angielskimi sąsiadami, dla których „kochaj bliźniego" nie jest tylko pustym frazesem. Poza tym muszę sterczeć koło szpitala St. Georges i regularnie być wożony na badanie krwi i regulację dawki owej trucizny na szczury.

I pomyśleć, że w takich warunkach balansowania między życiem i śmiercią powstały niektóre jego wiersze. Wspominał o tym w liście:

> Z kroplówką w przegubie ręki i niepewny jutra machnąłem szereg wierszy. Niektóre rymowane i bardzo wisielcze, jeden liryczny. Po prostu zwaliły się na mnie i tylko je zapisywałem ledwo widząc litery. Miałem co prawda szerokie okno przy łóżku i codziennie nad Wimbledonem najcudniejsze zachody słońca, jakie kiedykolwiek widziałem. Z tego wnioskuję, że to jeszcze nie koniec dla mnie i będą inne wiersze. Tylko nie

> tracić wiary. Z prozą daję już za wygraną. Nie jestem na dzisiejszych polskich częstotliwościach, ani też na nich być nie pragnę. Nie interesuje mnie literacka bawialnia.

Były jeszcze inne nawroty natchnienia:

> Czasem to leje się ze mnie jak lawa… Trudna rzecz nadrabiać w tygodnie zagubione lata i człowiek wszystko i wszystkich odsuwa, żeby coś powracającego nie przeszło mimo.

Ale był czas, gdy pisał ważne teksty prozą.

> Ciągle ślęczę nad tym esejem dla Giedroycia. On boi się go wydrukować i napisał mi o tym otwarcie. Ale mówi, że go chce mieć koniecznie, bo „temat bardzo ważny”. Chce bym rzecz trochę bardziej stonował, bo inaczej będzie draka. Z drugiej strony mnie samemu esej przestał się nagle podobać. Za dużo w nim pasji, za mało chłodnych analiz. I napisałem Giedroyciowi, żeby go nie drukował. Planuję większe rzeczy niż szarpaninę. Ale rzecz mi się rozdyma i mam całą książkę w tym i próbuję wtłoczyć w ramy eseju. Książki takiej nie będzie, za późno na nią w moim życiu. Moje teczki są pełne,

> proza i wiersze.

Zanim Darowski wziął się do realizacji wydania sobie drugiego tomu wierszy, posłał Giedroyciowi kilka wierszy z informacją, że ma ich więcej w teczkach. Chciał, by Giedroyć domyślił się o co mu chodziło. Giedroyć nie zareagował, a kiedy Darowski obraził się na „Kulturę" za nie drukowanie dużego eseju, na szczęście skorzystał z nadarzającej się pomocy w drukarni Bednarczyków, by złożyć i wydrukować „Niespodziewane żywoty".

Zasadniczo nie dbał o losy swoich tekstów. Nie pomagały w ich konserwacji porażki, których doznawał wysyłając je do Polski, gdy emigracyjni redaktorzy zawiedli. Wietrzono w nich podejrzane zapachy. W liście zanotował:

> Lisowski zażądał wycofania z „Twórczości" rzecz uchwaloną przez zespół redakcyjny ich „szerokie szpalty" bo musiał biegać po pieniądze de Dejmka. Widocznie wydawało mu się to aż zanadto aktualne, choć też było pisane w 1973 roku. Uchwalili dla siebie „grubą kreskę" i nie pozwolą nikomu na rozgrzebywanie tego. Spróbowałem więc szczęścia z tym w „Kresach", ale tam jest podobnie. Też muszą ganiać po forsę do swych lokalnych kacyków i nie mają najmniejszej chęci ich sobie zrażać. Pisali mi aż dwa razy, dlaczego ten tekst się nie ukazuje. „Zabrakło nam miejsca", „Nie układało się to w

> numerze”, lecz są to tylko wykręty. Wcale nie pytałem ich o to, więc chyba pisało do mnie ich nieczyste sumienie. Pewnie czekają teraz na numer, w którym się to da zgubić w rubryce, powiedzmy „Emigracja”, albo „Starocie”. Zaproponowali mi natomiast książkowe wydanie moich esejów, bo im się „bardzo podobają”, ale ja chyba na to nie polecę. Nie ma specjalnej radości w dalszym trzymaniu tego w teczkach, ale chyba jest jakieś *integrity*. Ważniejsze to dla mnie niż „sukces” za wszelką cenę. Oni zaś nie reklamując tych rzeczy drukowaniem w piśmie, skazują książkę na „cegłę”.

Przewiduję w konsekwencji trudności ze skompletowaniem spuścizny po Darowskim. Jak zebrać rękopisy szczególnie jego prozy? Czy znajdziemy kopie jego tekstów? Czy istnieją w redakcjach oryginalne manuskrypty, które nie doczekały się druku. Pewna wskazówkę mamy w korespondencji:

> Pokusiłem się na ten drugi wywiad. Pierwszy już się ukazał (z błędami) i żałuję, że go napisałem. Za krótka nasza łyżka to *sup with the media*. Drugi wywiad ma około 25 tysięcy słów i pewnie pójdzie do kosza. Basia go czyta i mówi, żebym go sobie zachował na jakiś inny użytek, ale jestem tak wściekły, że chyba go zniszczę. Zupełnie wytrąciło mnie to z rytmu pisania „Unsere” i pomogło mi do obecnej choroby.

Cztery moje eseje krążą po kraju i szukają chętnych. Nie wiem, czy w końcu znajdą. Majowa „Twórczość” wydrukowała fragmenty z „Notatnika”. Miało to trzy części, ale wydrukowali tylko dwie, w trzeciej ich coś przestraszyło. Teraz wiem co, bo mieli też moją rzecz o Dostojewskim, Gombrowiczu i „duszy słowiańskiej” (Ty i Bogdan też w tym jesteście) i wpierw miało to iść na szerokich szpaltach, ale potem zaprotestowali „filo rosyjscy członkowie redakcji”. Nie wiem, co z tym będzie. „Gdybym ja tylko był wiedział…” znalazło klientów, bo ponoć „rzecz jest aktualna i b. WAŻNA”. Ale kiedy to pójdzie, gdzie i czy w końcu pójdzie? Dwa inne też niby znalazły chętnych, ale wszystko to jest trochę mgliste. „Kresy” zapowiadają moje wiersze, ale poczekamy na nie do stycznia. Pięć sobie wybrali z dziesięciu posłanych.

„Kresy” zapowiadały najpierw ten wywiad w piśmie, ale w końcu go nie wydrukowały. Potem zapowiedziały moją rzecz ostatnią. Ale czy wydrukują? Nie powiem, że nie zależy mi na tym, raczej bardzo mi zależy, ale świat się nie zawali, jeśli tego nie zrobią. Może Kossowska ma rację, że oni tam wszyscy są zatruci dekadami anty emigracyjnej propagandy i do tego dochodzi zazdrość, że niektórzy z nas mieszkają we własnych domach i jeżdżą autami. Im się też to należy, plus, oczywiście etat literata, festiwale w Zagrzebiu i hotele w Paryżu.

W takiej sytuacji martwiłem się o rękopisy, które nie zostały drukowane lub nie poszły do druku, a najbardziej o te, które spotkały się z krytyką, w jakimś stopniu przez Darowskiego nie akceptowaną. Dlatego ucieszyłem się, kiedy w liście z 1996 roku napomknął:

> Porządkuję teraz moje materiały, żeby nie zostawić po sobie zbyt wielkiego chaosu… Napędził mi pietra ten ostatni udar, więc wziąłem się trochę w garść. Basia kupiła mi w tym celu foldery i już zebrałem dwadzieścia pięć kawałków prozy, drukowanej i niedrukowanej, jako teksty do książkowego wydania. A musiało tego być u mnie na kilka książek, więc mam dużo do roboty.

W naszych dyskusjach i rozmowach często poruszaliśmy racje dwu czołowych pism emigracyjnych: londyńskich „Wiadomości” Mieczysława Grydzewskiego i paryskiej „Kultury” Jerzego Giedroycia. Darowski bardzo cenił Michała Chmielowca, który prowadził „Wiadomości” po odejściu Grydzewskiego. Znalazł z nim wspólny język i chyba łudził się, że mu wszystko wydrukuje. Doniósł mi, że widział on, jaką mądrą rzeczą jest społeczne nastawienie „Kultury”, niestronienie od „gnoju” czyli pozaliterackich elementów życia i chciał czegoś podobnego dla „Wiadomości”, rozumiał też coś czego polscy pisarze nie zdają się pojmować, że jeśli pismo chce zajmować się wyłącznie

literaturą, to jej właściwie, nie potrafi zrobić.

> Cały mój zapisek o Grydzewskim w „Notatniku” jest o jego unikaniu świata pozaliterackich zaangażowań i wypełnianie pustki jakimiś hałaśliwymi walkami i urojonym przeciwnikiem w wadze piórkowej. Przecież telewizja sprząta spod nosa tę kupę „gnoju”, której atencję można jeszcze gdzieś tam zdobyć tylko dzięki jakiemuś utytłaniu się życiem pozaliterackim. Pewnie działa tu nasza stara polska tradycja niewystawiania głowy, czyli intelektualnego i moralnego w końcu tchórzostwa.
>
> Pierwszy mój wiersz nadający się może do druku brzmiał:
>
> Tchórzliwość umysłowa nas głównie cechuje,
>
> Przeto siedzimy w kącie najciemniejszym dziejów.
>
> Z naszych bzdur desperackich dorośli się śmieją

> Z fałszywym uznaniem plecy nam poklepią.
>
>
>
> A kończy:
>
>
>
> Ani na zbrodnie nas stać, ani na śmierć w arenie
>
> Nie schodzą z naszych ust słowa „Bóg” „Prawda”, „Sumienie”
>
> Lecz nasz oziębły uśmiech jest jak wygasłe piekło,
>
> Lub niebo, które się świętych swoich wyrzekło.

Patriotyzm śląski jest często szorstki, gorzki i zawiedziony. U Darowskiego znajdziemy go w obfitości:

> Tysiąc lat jesteśmy historycznym narodem, a nie wsławiliśmy się niczym szczególnym w kulturze, prócz może bezustannego gadania o niej. Następna moja książka będzie głównie na ten temat i pewnie nikt nie zechce mi jej wydrukować, bo drugiego Chmielowca nie znajdę… Habilitowali się na polonistyce, czy nie? Potrafią pokpiwać sobie, jak ich wyuczono, z Xiędza Baki czy nie? I ani jeden z tych bałwanów, jak Polska długa i szeroka, i już od pokoleń, nie zdołał jeszcze zauważyć, że w zakończeniu „Zoilusa" Baka sięgnął wyżej i piękniej niż jakikolwiek polski poeta przed nim i po nim. Nawet Hopkins i Donne wyżej nie mogli. Więc co chcesz? Piszę Hopkins i Donne dla podobnej intencji językowej i metafizyki. Jeśli zaś skróty Hopkinsa nas zachwycają, a Baki tak strasznie śmieszą. to tylko dlatego, że język polski umie streszczać tylko w komunały i staje się wręcz absurdalny, gdy stara się wznieść tam, gdzie anioły. Jak już w „Wiadomościach" pisałem, w najlepszym wypadku można z nim do „Hioba" lub „Eklesiasty". Ale do „Pieśni nad pieśniami", do „Psalmów", to tak jak byś chciał zagrać Mozarta na grzebieniu i postnej klepaczce. Przyziemne z nas plemię i takież są nawet najlepsze z naszych pieśni.

Darowski nie wstydził się przyznać do obserwacji, że mimo wszystko Gombrowicz i Miłosz na Zachodzie nie „biorą", mimo Nobla i wielu przekładów. Przyczyny są jego zdaniem,

pozaliterackie. Literatura polska po prostu nie wchodzi do ideo obiegu zachodniego, cokolwiek by nie robić.

Takie śmiałe opinie mogły się wydać zbyt daleko idące i drastyczne, nie do przyjęcia przez czytelnika i redaktorzy usiłowali je stonować, ułagodzić i w konsekwencji ich nie dopuszczać. Należy też mocno wątpić, by nawet Chmielowiec, na którego się Darowski powoływał, „wszystko" by mu wydrukował. Do zadań badacza należy obecnie potrzeba odszukania tekstów i ich ewentualnego opublikowanie.

O Janie Darowski na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/lektion-der-stille/

http://www.cultureave.com/jan-darowski-poeta-nieznany/

http://www.cultureave.com/zmartwychwstanie-z--posmiertnych-papierow-jan-darowski/

http://www.cultureave.com/powroty-jana-darowskigo/

Badania na temat Jana Darowskiego na Uniwersytecie w Rzeszowskim:

http://jandarowski.pl/napisano-o-darowskim/98-o--janie-darowskim-w-rzeszowie.html

---

Powroty Jana Darowskiego

Londyn. Widok na pałac Westminster.

Irena Wyczółkowska

Sympatyczna niespodzianka: gruba koperta, a w niej książka: *Powroty. Wybór wierszy Jana Darowskiego,* opublikowana w Raciborzu w 2008 r. przez wydawnictwo Raciborskie Media. Do książki dołączono pismo „Brzeski Parafianin", które ukazuje się przy Parafii Rzymsko-Katolickiej św. Apostołów Mateusza i Macieja w Brzeziu nad Odrą – ofiarowany mi numer ma charakter okolicznościowy, jest bowiem w całości poświęcony pamięci poety, eseisty i tłumacza Jana Darowskiego, który urodził się w Brzeziu i tam również, zgodnie ze swoją ostatnią wolą, został pochowany.

Pismo zawiera listy Darowskiego, wspomnienia o nim, słowa

mówiące o jego dorobku jako autora świetnych przekładów literatury polskiej na język angielski, m.in. Miłosza, Herberta, Różewicza, Białoszewskiego, oraz dokonaniach poetyckich, wierszach pełnych goryczy – tych śmiałych i bezkompromisowych wypowiedziach o polskiej historii, o moralnych dylematach życia na obczyźnie. Najciekawszy w piśmie jest artykuł profesora Floriana Śmieji z Kanady, który przyjaźnił się z Darowskim od wielu lat, łączyły ich wspólne zainteresowania, praca w redakcji słynnych już dzisiaj pism polskiej emigracji „Merkuriusz" i „Kontynenty", gdzie, jak wspomina profesor Śmieja:

> [Darowski] wniósł świeże, odważne spojrzenie, niebanalną myśl, wiele serca oraz gruntowną znajomość warsztatu drukarskiego.

Profesor Śmieja napisał także wstęp, który opatruje pośmiertny wybór poezji Darowskiego. Treść i artykułu, i wstępu będzie nader istotna dla wszystkich, którzy cenią sobie lekturę uważną, wnikliwe poznawanie intencji poety, tajników jego artystycznego myślenia. Oba teksty nader plastycznie ukazują sytuację poety emigracyjnego, tu słowa Floriana Śmieji:

> twórcy bez czytelnika, tworzącego w obcym kraju, wśród

> nieswojego społeczeństwa.

Autor wstępu przytacza melancholijne stwierdzenie poety:

> Jeśli sam akt twórczy całkowicie nie spełnia i nie jest sam w sobie najlepszą nagrodą, wtedy gra nie warta świeczki.

Z tekstów towarzyszących wyborowi wierszy wyłania się sylwetka poety nie dość, że niebywale skromnego, to jeszcze o zaniżonym poczuciu własnej wartości, kogoś, który nader pesymistycznie postrzega pozycję poezji w racjonalnym i dalekim od uduchowienia świecie współczesnym.

Irena Wyczółkowska i Florian Śmieja w Wilnie.

Chciałabym jeszcze dodać, że we wspomnianym piśmie parafialnym znajdują się także fragmenty prac maturalnych i dyplomowych omawiających poetycki dorobek Darowskiego. Jak to dobrze, że i na nie zwróciłam uwagę – wbrew często słyszanym biadoleniom, mądrzy są ci młodzi ludzie, wiele widzą i rozumieją, choć, wtrącę kąśliwie, nie zawsze piszą najsprawniej. Godne pochwały wydały mi się refleksje dziewczyny, która w obrazach przedstawianych przez Darowskiego dostrzega podobieństwo do wizerunku emigracji w epilogu do *Pana Tadeusza*. Bywają to wiersze, jak choćby głośny *Luksus*, wręcz okrutne, pisane z bólem. Oto ów wiersz, przyznacie Państwo, niezwykle przejmujący:

Co nas trzyma tutaj

wśród tych zręcznych kupców

sto tęsknot od domu

na bazarze wszystkiego pod słońcem

nic prócz krwi tu nie mogących sprzedać

nic prócz smutku kupić?

Luksus – wiadomo

Luksus patrzenia na rzeczy

luksus czasem dotykania rzeczy

i luksus mówienia

że są tym czym są

A nie tym co mówią

Oczy pełne strachu

lub doradza że lepiej by były

życiowy kompromis

> Luksus ciężko zarobiony
>
> krociem kalectw zapłacony
>
> i droższy niż życie

Zwolennicy kunsztownej zabawy poetyckiej, nowych przestrzeni stwarzanych przez wyobraźnię, finezji i elegancji na pewno nie staną się miłośnikami twórczości Darowskiego, być może wyda się im nawet jedynie moralizującą publicystyką. Ale to pisarstwo odwołuje się do nurtu, który w naszej literaturze miał swoje szlachetne tradycje, do epok, które wierzyły jeszcze w estetyczną kategorię wzniosłości, w misję poety – wrażliwego świadka i krytyka swoich czasów.

Zmartwychwstanie z pośmiertnych papierów. Jan Darowski (1926-2008).

Henryk Waniek

> Resurrectio chartarius posthumus
>
> czyli
>
> zmartwychwstanie z pośmiertnych papierów

Mam ja chyba z poezją jakieś nienormalne stosunki. A z poetami – pomijając wyjątki – w ogóle się nie zadaję. A tymczasem –

proszę, książka, prawie czterysta bitych stron druku, które czytam jedna za drugą, mimo że tytuł na okładce, jak na moje wyczucie, dość szkaradny – *Poezje*. Autor – Jan Darowski. Wydane w Rzeszowie (2015). Już przekroczyłem połowę!

Na stronie 299, w rozdziale zatytułowanym *Okruchy*, gdzie rzeczywiście są jakieś okruchy, ale też szkice, jednowersowe poematy, aforyzmy (niektóre trafią do dłuższych wierszy, inne do esejów), znajduję coś oto takiego: „zmartwychwstanie z pośmiertnych papierów". Więc pewnie też „żywot wieczny, amen". Ciekawe, co poeta miał na myśli? Czy jakaś to intuicja? Wyznanie wiary w papier? Proroctwo?

Książka przez którą się właśnie przeprawiam, to tom drugi z serii „Dzieła Jana Darowskiego", wydawanej przez Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne FRAZA w Rzeszowie pod redakcją Jana Wolskiego. A nawet trzeci, jeśli uwzględnić wydane wcześniej *Trzeba się trzymać pięknych przyzwyczajeń. Twórczość Jana Darowskiego. Studia i szkice*. (2012). Poza wstępem, apendyksami i indeksem, składają się na nią szkice 27 różnych autorów. Wszystkie – i te lepsze, i te gorsze – ciekawe. A szczególnie jeden, o którym powiem na końcu. We większości jednak akademickie – niestety.

Za tom piąty można by uznać *Archiwum domowe Jana Darowskiego*, ale on z kolei oznaczony jest jako trzeci. Więc już

się pogubiłem w tej numeracji. Może następne wniosą odrobinę jasności. Oby. Bo są tam – jak słyszę – jeszcze liczne „papiery pośmiertne" warte zmartwychwstania. Że warte, jestem pewny, choć ich nie znam. Na początku jednak, zanim odważyłem się na *Poezje*, zapoznałem się z tymi… *Studiami i szkicami*.

Zastanawiające, że w tej liczbie autorów tylko 3 osoby reprezentują Uniwersytet Śląski w Katowicach. Zwracam na to uwagę, bo Jan Darowski, podobnie jak Florian Śmieja, jego kompan z londyńskiej grupy literackiej *Kontynenty*, przez całe życie silnie podkreślali swą śląską tożsamość. Może dla Uniwersytetu Śląskiego żadna to zaleta? Może się mylę i powód dla którego spuścizna Darowskiego trafiła nie do tamtego, a do Zbiorów Specjalnych Uniwersytetu Rzeszowskiego, to splot nieznanych mi przypadków, jeśli ktoś wierzy w przypadki. Zresztą może on sam by sobie tak życzył? Bo kto wie czy w Rzeszowie szansa na z papierów rezurekcję nie jest większa niż w Katowicach?

Tego nie wiem, ale telefonuję do znajomych filologów z Uniwersytetu Śląskiego. Jeden, doktor habilitowany oraz profesor zwyczajny. Drugi tylko dr hab. Pytam jednego i drugiego czy znają twórczość, a choćby tylko słyszeli o Darowskim. Pierwszy zdecydowanie zaprzecza. Nazwisko nic mu nie mówi. A dlaczego pytam? Gdy wyjaśniam, że chodzi o powstanie z martwych, staje się jeszcze bardziej ciekawy. Drugi

natomiast odpowiada, że coś tam wie, choć słyszę wyraźnie, jak już w następnym zdaniu przekręca nazwisko na Darecki. Więc szkoda gadania. Przestaję telefonować, a w międzyczasie dowiaduję się jednak, że owszem, profesor Marian Kisiel zna. Więc może ktoś jeszcze?

Korci mnie by kontynuować ten test wśród mniej znanych mi tamtejszych luminarzy. Bo mało kto jak Darowski, Raciborzanin z pochodzenia, zasługuje przecież na miejsce w kulturowej pamięci regionu. Takich osobowości raczej się tam nie liczy na kopy. Ale co tu testować, skoro nie ma o nim wzmianki nawet w pracy prof. Zbigniewa Kadłubka i Łucji Staniczkowej – *99 książek czyli mały kanon górnośląski* (2011). Nie ma tam zresztą również Floriana Śmieji. A czy jest Piotr Guzy?

Więc taki to kanon. A bezwzględnie powinni tam być. Szczególnie Darowski, bo to pióro nie byle jakie i umysł, choć dopiero z papierów zmartwychwstający. To mnie zresztą za bardzo nie dziwi, jako że przyszło mu być emigrantem. Żył niemal na innej planecie, patrząc na Polskę z bezpiecznego dystansu. Co więcej, nie rozpychał się Darowski na jarmarku literackiej próżności. Emigranckim, oczywiście. Przyglądał mu się z rezerwą, a kto wie czy nie nawet z niesmakiem. Tam, w Albionie. Ale czy na polskim byłoby inaczej? Do jarmarku nie pasował, kwalifikował się raczej do Hyde-Parku. Poza tym, gdzie mu tam do uniwersytetów! Jego doktoratem było samo życie.

Lektury. Myślenie. Trzeźwy ogląd rzeczy. Nie czułby się pewnie dotknięty, gdybym tu napisał – samouk. Bo trudno o większy komplement. Kto się bowiem sam nie uczy, nie uczy się wcale, tylko jest nauczany. Toteż samouków mam w wielkim poważaniu.

Nadto, był Darowski człowiekiem – jak się to mówi – z charakterem. Nie praktykował kompromisów. Żadnych ustępstw na rzecz wydumanych „wyższych racji", choćby korzystnych. Co gorsza, z usposobienia weredyk, co nie czyni życia lżejszym. Świat rozkochany w iluzjach i baśniach nie zdradza wielkiego popytu na prawdę. Powiedzmy zatem, że myślowo kierował się raczej ku prawdzie niż jej eleganckim przeinaczeniom. I tak ostatecznie wypadł mu – a raczej pośmiertnym papierom – ten Rzeszów, gdzie z nimi obchodzą się czule, podczas gdy na Śląsku ledwie o nim wiedzą. Albo nic zgoła.

Oczywiście, czytelnikom TWÓRCZOŚCI, ani jej redaktorom, wyjaśniać wręcz nie wypada kim był Jan Darowski. Gościł na jej stronach kilkakroć jako autor, a też jako temat. A już na pewno nie Rajmundowi Kalickiemu, który w połowie lat 90. ze zmiennym szczęściem usiłował znaleźć dla niego godziwe miejsce w miesięczniku. Szczególnie dla jego esejów. O trudnościach z tym związanych jest mowa w listach jakie doń napisał Darowski, teraz opublikowanych (TWÓRCZOŚĆ, Nr.6, 2015). Rozumiem i podzielam tę słabość Kalickiego do jego pisarstwa, choćby dlatego, że jest w Darowskim coś, czego nie

ma u innych. Co zdarza się nielicznym. Odwaga sądzenia, mianowicie. Osobista i – na ile to tylko możliwe – obiektywna. Samotna.

Kolektywne *unisono*, to nie było dla niego. Nie basował w chórach. Jako solista żył z boku, chyba świadomy, że go słucha niewielu rodaków. A jeszcze mniej słyszy. Bo też światek brytyjski, w którym się wygodnie zakotwiczył, to była garstka zaledwie, na ogół z takim IQ, jakie dopuszcza regulamin wojskowy, lub przedwojenna polska matura. A on? Nawet nie porucznik. Do tego niemieckie, średnie wykształcenie techniczne. No i wreszcie inteligencja osobista, zaledwie wrodzona. Więc na jakich koturnach miał się tam poruszać? Czym mógłby się pysznić on – człowiek zwyczajny, otwarty na oścież, dociekliwy, chętny, lubiący być użytecznym. A też i zamknięty na rzeczy zalatujące fałszem – choćby niewinnym.

Przez jakiś czas nosił się z zamiarem pisania wyłącznie po angielsku. I choć nic z tego nie wyszło, dość obszernie naświetlił ten zamiar, przy okazji wytykając językowi polskiemu defekty. Swą krytykę wzmocnił doświadczeniem drukarza i poligloty. Tezę, że „język polski może być zapóźnionym językiem kultury zasadniczo rolniczej i literatów kultury rolniczej…”, na którą z pazurami rzucił się Józef Łobodowski, omówił i tak szczegółowo mu wyjaśnił, że uszczypliwość Darowskiego względem polszczyzny jest całkiem uzasadniona. Dodać należy, że nie tylko

polski i angielski, lecz także niemiecki i rosyjski znał biegle. Więc nie tylko o to chodziło, że w języku polskim było mu niewygodnie. Bardziej chyba o to, że po angielsku byłby liczniej czytany i słuchany. I może nie musiałby teraz z papierów zmartwychwstawać? Co bardziej zaciemnione umysły w jego otoczeniu, doszukiwały się w tej deklaracji znamion zdrady. Renegacji bodaj. Kto by tam pamiętał o Josephie Conradzie czy choćby Jerzym Pietrkiewiczu?

Ten zamiar wszelako jawi się dwuznacznie w świetle wyznania, jakie w 2001 roku uczynił w rozmowie z Beatą Tarnowską:

> Niestety, pierwszy wiersz napisałem po angielsku i pisałem po angielsku przez następne 5 lat [od 1949 roku]. Pisałem po angielsku i obracałem się w środowisku podobnie usposobionych młodzieńców, Anglików w Londynie… Ale uświadomiłem sobie, że urodziłem się na Anglię o 22 lata za późno. I wróciłem do korzeni języka polskiego. Bardzo kiepsko z tym było i naprawdę zostałem wprowadzony w język polski po raz drugi w życiu.

Lecz w zasobach rzeszowskiego archiwum nie ma (jeśli się nie mylę) żadnych utworów Darowskiego po angielsku. Wiedział on przecież, że pewne rzeczy trudno ująć w innym języku niż polski, bo by się w nim najzwyczajniej nie zmieściły. Choćby w

angielskim. Więc droczył się z tą polszczyzną, raczej prowokując niż grożąc. Wydobywał jej słabostki przekonany, że tylko w ten sposób można ją wzmocnić. Uchronić przed zagładą. Przed schorzeniami, które właśnie się dzieją. Czy nie z naszym udziałem? W istocie, bardzo ten język polski celebrował, włącznie ze zdarzającymi mu się nieznacznymi dziwactwami. Na przykład:

> nie ma dla nas innego dostępu do jej treści prócz przez jej obraz graficzny.

Dość notorycznie u Darowskiego plącze się to „prócz”. Ale żaden to grzech. Wszystko jest zrozumiałe.

Pozostał więc pisarzem polskim. Poetą. Znany był również z nadzwyczaj udanych przekładów. Miłosz czy Herbert widzieli w nim najsolidniejszego tłumacza. Lecz dla niego translatorstwo było marginesem. Jak i cała ta poezja. Przeto oryginalnej twórczości Darowskiego nie da się ująć prosto. Bo jest ona prymarnie spłaszczona przez fakt, że w biogramach i bibliografiach Darowski notorycznie występuje jako „poeta”. O tyle to zgodne z prawdą, że istotnie, pisywał i wydał nawet dwa zbiory wierszy. Podobnie jak prawdą jest, że „tłumacz”, skoro z powodzeniem przekładał na angielski Różewicza, Białoszewskiego, Szymborską i innych. Także „w drugą stronę”,

tłumaczył na polski Davida Herberta Lawrence’a czy Williama Butlera Yeatsa.

Ale ja bym go nazywał „pisarzem”. Nie tylko dlatego, że uprawiał też prozę, jakkolwiek jego *Unsere* trudno nazwać powieścią. To poruszające osobiste świadectwo. Bardzo osobiste. Raczej autobiografia. Ale w końcu i ta opowieść traci równość narracji, skręca w dygresje, przemienia się w istny „traktat o wszystkim”. Darowskiemu nie przeszkadzało, że „wszystko” jest niemożliwe. A co szkodzi, próbować? Zatem ostatecznie góruje w nim eseista, którego erudycyjne gadulstwo nie zawraca sobie głowy formą i konwencjami. Podobnie zresztą, jak sarka na naukową pychę, tak

często myloną z mądrością.

Więc zamiast wydzwaniać do Uniwersytetu Śląskiego i wypytywać, sam zabieram się do pisania. Ale najpierw do przeczytania, bo jak na mizerne moje możliwości, to jednak sukces bez mała. Czytam, czytam jeden wiersz za drugim. Przy niektórych dopada mnie drzemka. Przy innych nie gubię sedno. Czytam te *Poezje* jako kompletny bilans dorobku wierszopisa. A więc wydany w 1969 roku w Londynie zbiór *Drzewo sprzeczki* oraz – również w Londynie – *Niespodziewane żywoty* (1990). I wreszcie pośmiertnie *Wiersze różne*, a nade wszystko – także pośmiertnie – *Okruchy*. Te ostatnie są trochę bulwersujące; jedno, dwu, rzadziej trzywierszowe notatki, niektóre w kilku wariantach. Czasem wydają się być incipitami pomysłów, którym się już nie chce dorastać. Poeta wydaje się być znużony tym rzucaniem grochu o ścianę.

„Wiersze jak wiersze, sprawnie napisane, ale nie o poezję w nich chodzi" mówi ktoś, również nieobojętny na Darowskiego. Tu i ówdzie zarys jakiegoś obrazu, myśli, słów, które w pełni rozwijać się będą i dojrzewać dopiero w esejach. Słuszna, oj słuszna jest uwaga Jana Wolskiego:

> Jeszcze do niedawna, jeżeli kojarzono go, to właśnie z poezją, a bywało, że niemal wyłącznie z nią. Ale to chyba eseistyka

> zajmuje w całym dziele miejsce bardziej eksponowane, a raczej może je zająć.

A gdy czytam ich – Darowskiego i Kalickiego – rozmowę, którą sobie ucięli w Londynie na początku roku 1994, wyobrażam sobie niezwykłość, której się dosłuchał gość w jego słowach. Między innymi, to spojrzenie ze zdrowym dystansem na polski – krajowy i emigracyjny – stan rzeczy.

A to dlatego, że poza wszystkim, co tu napisałem, w osobowości Darowskiego jednak przeważał Polak. Mieszkający w Anglii, zgoda, i tam mający już własne, zapięte na ostatni guzik życie. Ale czy nie dlatego właśnie? Czy aby Polakowi nie jest potrzebny status emigranta, by się gruntowniej określiły jego horyzonty. Emigracja zewnętrzna, czy wewnętrzna – obojętne. Bo kontury Polski, Polaków i polskości widać z oddalenia wyraźniej niż to może się zdarzyć gdzieś w Warszawie, Lublinie czy Poznaniu. Niż to bywa w ślepym oddaniu się Polakom, Polsce i polskości. I w tym sensie Darowski dość *explicite* powtarza, że jednak polskość zobowiązuje. Do czego? To pytanie zostawiam na później, bo na razie chcę wydobyć tę jego szczególną właściwość widzenia, którą określę jako imperatyw przyzwoitości.

Gdyby to przeczytał, pewnie by się zżymał. Że się go tutaj próbuje uczynić arbitrem jakiejś etycznej poprawności.

Poprawnej narodowości. Czy w ogóle jakiejkolwiek poprawy. Tymczasem, ani w swoich wierszach, ani nawet pomiędzy nimi, nie dawał do zrozumienia, że go to w ogóle obchodzi. A raczej, że o ludzkiej przyzwoitości wie więcej, niż ktokolwiek, choć byłby z nią nawet na bakier. Nie stroił się w kitel terapeuty społecznego, ani naprawiacza ludzkich (polskich) defektów. Był trzeźwym historiozofem, który obserwował i uczestniczył w sprawach godnych wstydu, choć też i dumy. Bo żeby postrzegać pełnię polskości, trzeba być trochę również nie-Polakiem. Obraz tej pełni Darowski posiadł bytując w świecie rodaków-emigrantów, gdzie jej wszystkie odcienie występowały szczególnie ostro.

Po pierwotnym urzeczeniu Giedroycia jego bezceremonialnym językiem, stał się rychło niewygodny dla paryskiej KULTURY w grach tam praktykowanych. Z kolei w ospałym środowisku brytyjskim nie znajdował partnerów. Pisał więcej niż publikował. Ta rosnąca ilość papierów, które prędzej czy później staną się „pośmiertne", to w dużej mierze rachunek jego publicznego milczenia. Chyba postępującego. W jakimś spóźnionym porywie, wobec spustoszeń wieku i postępującej choroby, dał się nakłonić. Dał się raz jeszcze pchnąć w stronę papieru i pióra, a właściwie komputera. I to w czasie – tak sobie wyobrażam – gdy już nabierał świadomości, że twórczość pisarska, a głównie poetycka, zawodzi w komunikowaniu się z innym. Sporadycznie publikował to tu, to tam, ale wybór był właściwie niewielki. Po roku 1989 niektóre jego teksty trafiły na łamy krajowe. Mało. Nic

zatem dziwnego, że ostatecznie ciekawość poniosła go na ogólne sprawy ducha i ontologii, a szczególnie tej *paleo*, co nie znaczy wcale, że oślepł na rzeczywistość bieżącą. Tyle, że współczesność widziana z dystansu, podobnie jak ojczyzna czy naród, także jawi się ostrzej.

Gdy już jedna choroba za drugą utrudniała mu większą aktywność, jeszcze raz uruchomił potencjał swojego języka. Mogłoby tylko być nieco mniej wierszy. To znaczy – poezji. Tyle, że w pewnej jej części dostrzega się jednak jakby suchą zaprawę do esejów, w których tam ledwo muśnięte idee, symbole czy sprawy, nabiorą sensu i rozmachu. Przypomina mi się sąd Henryka Berezy, który na pewną ilość głupstw powiedział także pewną ilość rzeczy mądrych. Za jedną z nich uważam to zdanie, niejednego mogące wpędzić w konfuzję: „przeznaczeniem poezji jest proza". Wielu (większość!) poetów rzeczywistych oraz poetów tak zwanych, rozmija się – jaka szkoda! – z tym przeznaczeniem, dożywotnio pisząc duby smalone, lub – co wielokrotnie Darowskiego to śmieszyło, to oburzało – rozpisując się na temat własnej niemożności pisania. Od tej i innych bolączek ratować może poezję jej – zdaniem Berezy – przeznaczenie, czyli proza. W prozie nie ma taryfy ulgowej; ucieczki w znaczące (oby tylko!) niedomówienia, niedoróbki i całą tę estetykę, sprawiającą, że ostatecznie biel strony tylko nieznacznie pokryta jest drukiem. Naturalnie proza prozie – podobnie jak poezja poezji – nierówna, i by się nie posuwać za

daleko, wystarczy powiedzieć, że na jej płaszczyźnie egzamin jest bardziej surowy, mniej wyrozumiały dla poetyckiego farniente.

Skoro już się tutaj – *deus ex machina* – pojawił Bereza, narzuca się automatycznie pytanie – znał on aby pisma Darowskiego? Teoretycznie biorąc, znać powinien. Przynajmniej to, co ukazało się w TWÓRCZOŚCI za jego życia. Gdy żył, pewnie bym go o to nawet nie spytał, bo moje stosunki z Berezą właściwie były żadne. Ukłony na odległość, gdy przesiadywał w najbardziej cienistym kącie redakcji. Spoglądał stamtąd nieufnie, rojąc sobie może, że jestem dawnym mentorem Jerzego Illga, którego słowa go niegdyś dotkliwie zraniły, czemu zresztą zaprzeczał. Może domyślał się, lub ktoś niedelikatny mu powtórzył, że większość jego ONIRIADY odczytuję jako oniryczną mistyfikację. Grę towarzyską. Nie wiem. Wystarczał mi ten na odległość szacunek jakim go darzyłem i szczypta nieufności. Ale w sprawie Darowskiego, jak teraz myślę, sąd Berezy miałby wielkie znaczenie. Tyle, że proza Darowskiego chyba nie jest z gatunku, który Bereza mógł mieć na myśli. Czy w ogóle proza?

Raczej odpychanie poezji.

> Młodzieniec, myślący u nas o literackiej karierze, stara się najpierw zadebiutować tomikiem wierszy, zacząć jako ‘poeta’. To zawsze robi dobre wrażenie, a poza tym wie, że

> poezja jest »sprawą młodości«, fazą, z której się i tak wyrośnie.

Te słowa znajdziemy w eseju *Nieobecność i Kara* [*Eseje* s.25] napisanym w roku 1961, zanim ukazał się jego debiutancki zbiór wierszy, gdy Darowski (35 lat) mógł jeszcze od biedy myśleć o sobie „młodzieniec”.

Ale trochę dalej, w tym samym eseju:

> „Cokolwiek mógłbym rzecz o poezji” – pisał Julian Przyboś – „mogę potem odwrócić i jeszcze mieć rację, chociaż w innym układzie odczuwania poetyckiego”. Istotnie, każda wypowiedź o niej jest jakby globalna, a odwrócona też zasadniczo jest słuszna, bo pokazuje nam tylko inną hemisferę tej samej estetycznej całości. Nie tak jak w prozie, która ma się do słowa poetyckiego jak arytmetyka do geometrii, jak analiza do syntezy. Proza, w jej zasadniczej formie, nie jest strefą międzysłowia, niespłacalnych hipotek ontologicznych, wewnętrznych kryteriów [*Eseje* s.26].

Fot. Stuart Heath

Ten „falujący” i otwarty na przejściowe kryzysy stosunek Darowskiego do poezji i do siebie jako poety, przejawiał się przerwami w jego twórczości. A nawet – jeśli wierzyć słowom jego rozmówcy – prowadził go do deklaracji radykalnego jej zaprzestania. Ale deklaracje to jedno, a przymus wewnętrzny, to coś całkiem innego. W jednym z epizodów szpitalnych, ku jego własnemu zdumieniu, wylało się z Darowskiego kilkadziesiąt wierszy. W zbiorze *Niespodziewane żywoty* są one datowane, więc widać, że tutaj poetyckim katalizatorem był stan wojenny w Polsce. Pamiętam z tego czasu, że w krajowym świecie

podziemnych wydawnictw również nastąpił gwałtowny wylew twórczości poetyckiej. Głównie grafomańskiej. Bo tak to się wtedy wyrażał pobudzony patriotyzm, zraniona duma i narodowe urazy.

„Wiersze, jak wiersze, sprawnie napisane…" powtórzę raz jeszcze, ale więcej emocji i mentalnej korzyści znalazłem w eseju *O grafomanii i literaturze*, gdzie Darowski, zresztą bardzo dobrotliwie, wbija szpikulec adeptom jednego i drugiego. Zatem – furda poezja! To przecież tylko zabawa z językiem, którego celem ostatecznym jest proza. Myśl dorzeczna. O tylu ludziach większego i mniejszego formatu słyszałem (czytałem, lub sam pomyślałem): „mędrzec!", że powtarzanie tego o Janie Darowskim tylko by mu przynosiło ujmę. Takiemu wprost wypada od czasu do czasu parać się mową wiązaną. Ale miarą jego rozmiaru nie te są interwały.

Więc poeta czy nie, przede wszystkim jednak człowiek (tu by się przydała wielka litera) języka polskiego, lekko zmąconego prowincjonalizmami, choć nie bardziej niż u Gombrowicza. Polak także, podobnie jak Gombrowicz, twórczo zwaśniony ze swoją polskością, ale z właściwie ustawioną poprzeczką. Krzywo patrzący na domniemaną wielkość swojej tożsamości. I z powodu tego domniemania nie całkiem szczęśliwy. „Szczęśliwe niewielkie narody" napisze w ostatniej linijce wiersza *Z kazań na niejasnej górze*. (*Poezje*, str.176), chyba wiedząc i widząc, jak pod

brzemieniem swojej wyobrażonej wielkości jego ojczyzna ledwo się trzyma na nogach. Ale co jeszcze poza językiem jest jego ojczyzną?

Coś takiego w tomie *Poezje* na stronie 157 czytam:

> Najlepsi – pod wozem
>
> na wozie – nawóz
>
> jak zawsze
>
> Nie wiem jakim cudem
>
> jeszcze Polska nie zginęła…
>
> którą oświeca przez trujące mgły
>
> raz pięść krwawa
>
> raz posmarowana łapa. (1982).

Jasno powiedziane. Jakim cudem, tego też nie wiem, ale – podobnie jak Darowski – temu, że cuda istnieją, zaprzeczyć nie mogę. Wiersz, jak wiersz.

Obiecałem, więc powracam do tego „że jednak polskość zobowiązuje.” Do czego? Jasnej odpowiedzi na to pytanie daremnie szukać u Darowskiego. Rozsiane w jego tekstach tu i tam, impresyjne spostrzeżenia odnośnie tej sprawy, to raczej uwagi poirytowanego racjonalisty, który z irracjonalnym układać się nie chce. Nieco światła na to Darowskiego przewrażliwienie rzuca pewien spór z Czesławem Miłoszem, który niegdyś z entuzjazmem rekomendował Darowskiego Giedroyciowi. Miłosz na łamach KULTURY, skomentował tekst z roku 1973, opublikowany w londyńskich WIADOMOŚCIACH.

> Artykuły jego [Darowskiego] są napaścią na dzieje całej Słowiańszczyzny i dzieje Polski i to od strony języka… Kto jest ciekaw riposty Darowskiego, kładącego noblistę na łopatki, ten ją znajdzie w *Esejach* od strony 159, ale tutaj chodzi o coś jeszcze innego; mianowicie o odpowiedź na pytanie, którą sami musimy złożyć z rozproszonych napomknień. „Dlaczego nie jesteśmy, kim być powinniśmy?” zapytuje Darowski w zakończeniu swych utarczek z Wielkim Poetą. I jeszcze: „…Kim chciałbym, żebyśmy się stali? A bo ja wiem? Wiem z grubsza, kim nie jesteśmy, a to już wydaje się być coś dużo za dużo na nerwy pewnych panów. Ale kim możemy się stać, tego może wolałbym nie wiedzieć, bo […] gdyby z nas ktokolwiek wiedział, to pewnie nie byłoby dla nas żadnej przyszłości wartej większego zachodu”.

Stać się. Wysublimować z siebie najlepsze. Przemieniać niskie w szlachetne. Czysta alchemia. Można pomyśleć, że Darowski naczytał się Junga. W jego księgozbiorze jest istotnie stare wydanie *Psychology and Religion* (1938), a nawet *The Tibetan Book of the Dead* z *Komentarzem psychologicznym* C.G.Junga, ale nic więcej. Poza tym Polakowi, skoro ma Jasną Górę i Ostrą Bramę, wręcz nie wypada parać się alchemią duchową i grzebać w mrokach kolektywnej nieświadomości. Niech sobie nurkuje w polszczyznę i w ten sposób doświadcza indywiduacji. I to jest właśnie sedno całego cudu. Bo Polska jest cała z języka, a czasem nawet wydawać się może, że wyłącznie z niego. Wobec chwiejnych miar i wszechobecnej niechęci; wobec gorzkiego rachunku, który zamykają „pośmiertne papiery Darowskiego", takie jest więc polskości zobowiązanie, by jej nie powierzać niepewnym instancjom, tylko najlepszemu z możliwych wzorów człowieczeństwa, wzięty z rejonów ponad, czy pozanarodowych. I równać ją – tę polskość – do niego raczej, niż wyświechtanych półprawd i iluzji.

Nie byłoby zasadne, by z tekstów Darowskiego wydobywać przede wszystkim to, w czym odzywa się jego troska o kraj, naród i język. To się oczywiście tam czuje, ale w zmiennym natężeniu, a z biegiem lat jego uwagę przykuwają atrakcje bardziej konkretne. Geologia, paleologia, prehistoria i krytyczna historiozofia w ogóle. A w tym naturalnie częste dawki psychologii, tej trafnej i tej błędnej. Gdy tak wyliczam dziedziny,

w które Darowski zaglądał, naprowadza mnie to na domysł, że może podobnie jak wiersze czy proza, nie mogące znaleźć wygodnego miejsca poza językiem polskim, tak i Polacy, Polska, polskość są tylko westybulem; pretekstem zaledwie by wejść (wyjść?) dalej, poza te wąskie kategorie, tylko pogłębiające nasz deficyt wolności. Wyjść ku humanistycznemu konceptowi człowieka „w ogóle". Że tak się stało z myślą Darowskiego, poza dużą ilością poszlak, mam tylko jeden dowód. A i ten niepewny, bo znany mi z drugiej ręki niejako, pośmiertny jak najbardziej, ale nieopublikowany esej *Chemia wolności*. Co zawiera, wiem z grubsza dzięki Magdalenie Boczkowskiej (Uniwersytet Śląski), która się tym zajmuje w rozprawie *Wokół eseju Kain i Abel. Kilka uwag*, opublikowanej we wspomnianych *Studiach i szkicach…*. Bo taki ostatecznie dał mu tytuł Darowski. Autorka przestudiowała maszynopis eseju, składającego się z czterech rozdziałów. Streszcza i hojnie cytuje, podsycając tylko czytelniczą ciekawość. Mam nadzieję, że kiedyś ten esej poznamy w całości. Lecz na razie mogę się tylko zachwycać tym, co mi się – chyba bezprawnie – roi. A równocześnie miętoszę w sobie pytanie, czy przed Jungiem, a może po nim, sięgnął Darowski po Hermanna Hesse. Nie po *Siddhartę*, *Wilka stepowego* czy *Das Glasperlenspiel*. Mam tu na myśli *Demiana*, gdzie ważnym symbolem gatunku ludzkiego jest kainowe piętno. I taki też jest punkt wyjściowy pierwszego rozdziału eseju, który ma tytuł *Homo habilis*. Kain dopuszcza się zbrodni, najpierwszej w biblijnej historii człowieka. Kulturozoficzne, miejscami wręcz

teologiczne komentarze Darowskiego rozciągają się na rozdziały: *Homo faber*, *Homo vastans*, i ostatni *Homo actor*.

Nie będę tu streszczał streszczenia, choć dla Boczkowskiej tok rozważań autora wydaje się na tyle przejrzysty, że sama jest gotowa dodać mu jeszcze jeden rozdział. Piąty. Dałaby mu tytuł *Homo solitarius* i składa się wyłącznie z wziętych skądinąd słów Darowskiego, który objawia się tu jako człowiek z początku nowej epoki. Epokę tę nazywa modnie – postchrześcijańską. I tak z jednej strony z Janem Darowskim, a z drugiej Zygmuntem Baumanem, pięknie konkluduje swoją rozprawę:

> Po pierwsze, bardziej niż kiedykolwiek jesteśmy dziś *homo solitarius*. Samotni w swych wyborach. Samotni w swych porażkach i zwycięstwach. W codziennych walkach. Sami wśród tłumu podobnie samych. Samotni w globalnej wiosce. Po drugie, jesteśmy dziećmi Kaina, dlatego – jak pisze Darowski – »nasze *contemptus mundi* jest pełne niewymownej rozpaczy«. Nikt jednak nigdy już nam nie udowodni, że będąc dziećmi Abla, żyłoby nam się lepiej.

Cóż więcej można powiedzieć niż ten, ni to dezyderat, ni modlitwę: Papiery pośmiertne! Zmartwychwstajcie!

Jan Darowski – poeta nieznany?

Szkoda, że czytelnicy krajowi nie znają ani nazwiska Jana Darowskiego,

ani wielu innych poetów piszących poza krajem.

Czesław Miłosz, *Gorzki wiersz,*

„Tygodnik Powszechny", 14.09.2003

Urszula Iżycka

Jan Darowski

Literatura emigracyjna – po boomie pod koniec lat osiemdziesiątych i początku lat dziewięćdziesiątych – ulega stopniowemu oddaleniu (w sensie dosłownym i przenośnym) i zapomnieniu. Oprócz kilku od lat uznanych nazwisk twórcy emigracyjni pojawiają się na rynku wydawniczym i w czasopismach sporadycznie. A może faktycznie – tak jak pisze

Miłosz – *szkoda, że czytelnicy krajowi nie znają […] wielu […] poetów piszących poza krajem.* Jednym z tych Wielkich Zapomnianych, którego nazwisko przywołuje Miłosz w *Gorzkim wierszu,* jest – zmarły w 2008 roku – Jan Darowski. Był on poetą – jak określiła Maria Danielewicz Zielińska – o *niemal powieściowym życiorysie.*[1] I ten właśnie życiorys, stwarzający kompleksy, ale także wyzwalający świadomość artystycznego statystowania historii, sprawił, iż jego poezja jest pełna pesymizmu, jest przestrzenią złożonych wyborów, nierozwiązywalnych napięć. A historia jest okrutna, nie liczy się z ludźmi, narodami, czasem. Jej przerażających wyroków Darowski doświadczył w swoim życiu kilka razy. To ona zaważyła w sposób dramatyczny na życiu i twórczości poety.

Urodził się w Brzeziu na Górnym Śląsku w 1926 roku. Swoją edukację rozpoczął w Szkole Graficznej w Katowicach. Tam też, po wybuchu wojny, opowiadając się po stronie polskości, zaangażował się w ratowanie polskich książek, ale historia sprawiła, że w 1944 roku został wcielony do Wehrmachtu i wysłany na front francuski. W trakcie bitwy o Normandię przeszedł na stronę aliantów i wstąpił do polskiego wojska. Do końca wojny walczył w 1 Dywizji Pancernej, a pod jej koniec został instruktorem w Szkole Taktycznej w Catterick. Od 1946 roku przebywał w Anglii, imając się różnych zajęć, często dalekich od jakichkolwiek związków z literaturą. Wszystkie te okoliczności sprawiły, że dopiero w 1951 roku zdał w Londynie

maturę. Marzył o podjęciu studiów filozoficznych, jednak ze względów finansowych stało się to niemożliwe. Przez długi okres w dzień pracował jako zecer, był także kontrolerem w angielskiej fabryce broni, natomiast nocami pisał, tłumaczył, uzupełniał swoje wiadomości. Jest autorem dwóch zbiorów poezji: *Drzewa sprzeczki* (Londyn 1969) oraz *Niespodziewanych żywotów* (Londyn 1990). Tłumaczył też na język angielski polską poezję, zdobywając opinię jednego z lepszych tłumaczy. Przy tym warto podkreślić, że wszystko, co osiągnął jako poeta, krytyk literacki i tłumacz było wynikiem jego samokształcenia i ogromnej wrażliwości.

Do przedwojnia oraz okresu wojny i pierwszych wyborów – wyborów narodowości, języka, swojego miejsca w społeczności, zagubienia w świecie – powraca często z ironią, a trochę też z rozgoryczeniem, w swoim wierszu *Kulturkampf*:

> Od chłopięctwa niemal
>
> mieszka za granicą
>
> w ojczyźnie Szekspira
>
> i pisze po polsku –

co się za tym kryje?

To może:

Trzydzieści lat temu

ktoś go w twarz uderzył

za kilka słów polskich

a on mu nie oddał

I wcale nie dlatego

że przed tamtym stchórzył

a tylko bo tamten

co miał twarz jak gówno

Goethem ją zasłonił!

Jednak jego nazwisko przywołuje się najczęściej w kontekście „kontynentowców", obok Buszy, Czaykowskiego, Czerniawskiego, Ihnatowicza, Sity, Śmieji, Taborskiego. W grupie *Kontynentów****[2]*** pojawił się w 1958 roku za sprawą Bolesława Sulika, który był – jak mówi sam Darowski – jego *literackim ojcem chrzestnym.****[3]*** Ten – jak wspomina Florian Śmieja – *oryginalny poeta i doskonały krytyk wniósł świeże, odważne spojrzenie, niebanalną myśl, wiele serca oraz gruntowną znajomość warsztatu drukarskiego.****[4]*** I od „pierwszych dni" stał się też głównym – obok Czerniawskiego – krytykiem „kontynentowców". W przeciwieństwie do najczęściej pisanych pozytywnych recenzji lub omówień twórczości członków tej samej grupy, obaj poeci mieli bardzo krytyczny stosunek do siebie i swoich przyjaciół. Florian Śmieja wspomina po latach: [Darowski] *był odważny na tyle, że potrafił powiedzieć od siebie sporo rzeczy krytycznych, bardzo nowych i oryginalnych. Miłosz zawsze chwalił wypowiedzi Darowskiego.****[5]***

Pierwszy tom jego poezji – *Drzewo sprzeczki* (Londyn, 1969) – poprzedziła, przyznana mu w 1968 roku, nagroda im. Tadeusza Sułkowskiego. Tomik ten składał się przede wszystkim z wierszy drukowanych w kwartalniku *Oficyna Poetów*, w Chmielowcowych[6] *Wiadomościach* i w paryskiej *Kulturze*. Powstał on po długim wahaniu poety, który nie mógł zdecydować się na wydanie swoich rozproszonych po

czasopismach, tekstów. Niewątpliwie jedną z przyczyn tego była nieufność do języka, ale także świadomość ograniczenia możliwości poznawczych człowieka.

O wartości poezji autora *Drzewa sprzeczki* świadczy przede wszystkim ciągłe poszukiwanie nowego wymiaru świata, ale też dążenie do poznania prawdy o człowieku, jego usytuowaniu w rzeczywistości, w której staje się on i podmiotem, i przedmiotem. Darowski formułuje wiele istotnych pytań aksjologicznych, świadomie zawieszając je w próżni. Podmiot liryczny, podporządkowany prawom biologicznym i mechanizmom społecznym, usiłuje odnaleźć siebie, swoje emocje i uczucia.

Tragizm człowieka współczesnego, poczucie osamotnienia, wyobcowania, polskość, a wreszcie miejsce Polaków na emigracji, w różnym nasileniu, pojawia się u Darowskiego bardzo często. Poeta w liście do Jana Wolskiego pisze: *gadka, że w końcu pisuje się dla jednej czy kilku osób, nie jest na emigracji gadką pustą. Już sama nasza konieczność jest taka, z rezultatami bardzo pozytywnymi i bardzo negatywnymi. Zależy jak u kogo.***[7]** Dramat ten, wynikający z buntu przeciw historii, przeciw sytuacji, która wymusza pewne wybory, postawy, wpływał zarówno na życie poety, jak i na jego twórczość, począwszy od problemu języka, a skończywszy na wyborze poetyki.

O swoich „przygodach z językiem” Darowski, podobnie jak inni poeci „Kontynentów”, mówił wiele razy. Problem ten pojawiał się często, zarówno w wypowiedziach na łamach pisma, m.in. w niezmiernie ważnej dyskusji w 1960 roku, w której udział wzięli: Czaykowski, Czerniawski, Darowski, Ławrynowicz, Śmieja, jak i w poezji. Celem dyskusji, która w dużej mierze poświęcona została przedstawieniu obrazu indywidualnych kontaktów z językiem polskim, była próba odpowiedzi na pytanie: *czy mamy szansę przeżycia jako pisarze w języku polskim?* W tym kontekście wręcz dramatycznie brzmiały ich wypowiedzi. Darowski wówczas zauważył: *Język […] nieoparty na konkretach, na osobistym doświadczeniu, stanie się wysoce oderwany, bez zdolności regeneracyjnych – skamienieje. To niestety, odnosi się i do wielu z nas****[8]*** W podobnym tonie brzmi jego wiersz *Wieczne póro/Foutntain pen:*

> W języku polskim
>
> Pióro to mam wieczne –
>
> W angielskim byłoby fontanną
>
> Piękną fontanną!
>
> Lecz chyba woda czymś poczerwieniona

> By mi z niej tryskała
>
> A nie moja krew
>
> Na innych historycznych kołach
>
> Jadą wozy naszej wyobraźni
>
> I nie da się przesiąść wolny od bagażów
>
> Nie da z siebie zleźć
>
> Dalej tamte koła
>
> We krwi nam się kręcą

Dla wszystkich biorących udział w dyskusji językiem „naturalnym", „pierwszym" był język polski. Starsi, tak jak Darowski, urodzeni między 1925 a 1929 rokiem[9], przyjechali na Zachód w pełni już ukształtowani, zakorzenieni w języku i kulturze. Jednak i oni, przed przybyciem do Anglii, przechodzili okresy ograniczonego kontaktu z polszczyzną, stąd tak wiele w ich wypowiedziach wątpliwości i niepewności. Ihnatowicz po latach wspomina: *To, że ja i inni z mojego pokolenia na emigracji pisali po polsku, płynie w dużym stopniu z tego, że język domu i*

dużej części naszej edukacji przeduniwersyteckiej był polski. Tkwiliśmy więc mocno w kulturze polskiej. O ile mi wiadomo, byłem pierwszym w tej grupie, który publikował wiersze też po angielsku. Powodem pisania wierszy angielskich – jak wspomina poeta – była *po prostu chęć, by znaleźć miejsce w literaturze „kraju osiedlenia", […]. A także coraz większe zadomowienie w języku angielskim.****[10]*** O odchodzeniu od języka „pierwszego" i pojawiających się coraz częściej rozterkach pisze Darowski w wierszu, o jakże wymownym tytule – *Nie znam ojczystego języka (Z wieczorów autorskich):*

> Moje jak żywe obrazy
>
> ściany mi odsyłają
>
> Mam się (czy siebie) powiesić?
>
> Niejasne
>
> płynie szmer po sali –
>
> w sercu echa nie budzą
>
> czego ten człowiek chce?

> Jeść! Krzyczę
>
> Na co mi jeden stary gwóźdź programów:
>
> Myślisz to zrozumie?
>
> Naucz się po polsku
>
> Jeść tutaj
>
> mówi się: Honor
>
> Ojczyzna
>
> Bóg!

To pragnienie „zadomowienia się” niewątpliwie sprawiło, iż bardzo wcześnie zaczął pisać w języku angielskim. Swój pierwszy wiersz angielski napisał już bowiem w roku 1949, i anglojęzyczną twórczość kontynuował przez pięć lat. Jak powiedział podczas dyskusji o języku, *pisałem po angielsku i obracałem się w środowisku podobnie usposobionych młodzieńców, Anglików, w Londynie. Nie drukowałem nic, bo chciałem wyjść „gotowy”.****[11]***

Może właśnie ta postawa sprawiła, że obecnie Darowski jest uważany za jednego z najlepszych tłumaczy polskiej poezji na język angielski.[12] Za najlepszego tłumacz polskiej poezji na język angielski uważał go także Kazimierz Wierzyński. Adam Czerniawski wspomina, iż poetę przez wiele lat dręczył problem wyboru języka: *dobrze pamiętam nasze rozmowy kiedy Darowski zastanawiał się, czy nie przerzucić się na angielski. Ten pomysł bardzo mu się podobał. Bo dawał on do zrozumienia, ze polska poezja jakoś mu nie wychodzi.****[13]*** Kilkakrotnie Darowski wyrażał również przekonanie, iż w wielu dziedzinach, w porównaniu z językiem angielskim, język polski jest niższy intelektualnie, mniej precyzyjny i klarowny akustycznie (*te pretensjonalne, mało myślące szczebioty)****[14]*** oraz jest zbyt retoryczny: *wszędzie kładzie nas nasz język – niski pułap metafizyczny jego rzeczowników, jego szczęki krusząca polisylabika, nadająca się do wyższych operacji myślowych jak młockarnia do muzyki Mozarta.****[15]*** Na tę wypowiedź zareagował Miłosz, pisząc, iż *ktoś, kto jak Darowski musi w życiu codziennym ciągle przerzucać się z angielskiego do polskiego i odwrotnie, jest wyczulony na niektóre skłonności polszczyzny przez ludzi w Polsce rzadko dostrzegane i sądu jego nie trzeba lekceważyć.****[16]***

Jednak, jakby wbrew samemu sobie, Darowski pisze w języku polskim. Pomimo iż język młodości, język utraconej ojczyzny nie jest językiem codziennym, a po kilkunastu latach ograniczonego

z nim kontaktu łatwiej wypowiada się w języku angielskim (*Wieczne pióro/Fountain pen*), jednak okazuje się, że to w nim może wypowiadać swoje najbardziej skryte myśli. O tym wymuszonym przez rzeczywistość bilingwizmie „kontynentowców" pisze w swoim dzienniku Witold Gombrowicz: *Ich angielskość tłumi, onieśmiela ich polskość. Ich polskość nie pozwala angielskości, by się w nich wszczepiła .Niepospolicie trudne jest ich zadanie, prawie karkołomne – tak skombinować te dwa bieguny, żeby z nich powstała elektryczność rozwiązująca język.****[17]***

Ks. Jerzy Sikora, Czesław Bednarczyk, i Jan Darowski w

drukarni Krystyny i Czesława Bednarczyków w Londynie, fot. arch. Floriana Śmieji,

Darowski pisał nie dla czytelnika (nigdy o niego nie zabiegał, a druk kolejnych wierszy i tomików wręcz wymuszali na nim przyjaciele, m.in. Florian Śmieja), ale dla siebie, z jakiegoś nieokreślonego, wewnętrznego przymusu. Ta sytuacja wpłynęła na pewno na to, iż język ten był traktowany przez niego w sposób wręcz lingwistyczny, a każde słowo rozpatrywane w sposób szczególny, traktowane jak coś wyjątkowego i niezmiernie wartościowego. W jego utworach można zauważyć niesłychaną wprost oszczędność środków poetyckich: *Nie są to na ogół wiersze łatwe do recytacji, daleko im do gładkości, unikają najczęściej regularnej interpunkcji, nie dążą bowiem do retoryki, pozbywają się oczywistych chwytów „taktycznych" wierszoróbstwa, nie chcą być także traktatem – chodzi im raczej o pewną wieloznaczność, odzwierciedlającą skomplikowane przeżycia i nastawienia, dającą dystans, zmuszającą do współpracy czytelnika. […]jedynie czasami całkowite odmetaforyzowanie prowadzić mogło do żywej metafory i jedynie odpięknienie wydawało się pozwalać na odkrycie prawdziwego kruszcu w brunatnej skale. .****[18]****

Ten niezwykle świadomy stosunek do języka wynikający – jak

napisał Miłosz – z tego niesamowitego *wyczulenia na niektóre skłonności polszczyzny,* wpłynął niewątpliwie na podobieństwo jego tekstów do poezji Białoszewskiego, Herberta, Różewicza, Szymborskiej – twórców szczególnie wrażliwych na słowo. Sam jednak poeta odcinał się od utożsamiania go z ich poetyką. Nie chciał zresztą by łączono go z jakimikolwiek szkołami, manifestami, programami. Podkreśla swoją odrębność i „osobność”:

> Ciągle mnie odsyłają do jakichś tam szkół
>
> i przytułków swoich
>
> żeby zaraz porozstawiać po kątach
>
> za brak tożsamości
>
> Już na oślej ławce
>
> w szkole im. Mirona za to siedziałem
>
> Aż zaróżowił się któremuś w głowie
>
> Różewicz

> lecz gdy pokazałem im język
>
> poprawili: lingwista
>
> Najchętniej to wypiąłbym się na nich
>
> ale się boję
>
> zaraz przylepią temu jakąś etykietę
>
> powiedzmy: poezja konkretna
>
> albo nawet
>
> awangardą zerżną ariergardę
>
> Uroki wagarów

Obronę przed jednoznacznym przyporządkowaniem odnaleźć możemy również w *Wadze powagi.* Podmiot liryczny obawia się, iż raz określony, przypisany do jakiegoś kierunku przez *Bardzo Poważnego Krytyka,* któremu

> Jeżeli […] kiedykolwiek uda

> przytroczyć do niej jeden z ciężkich
>
> staroświeckich gratów na których on waży
>
> to już z miejsca nie ruszę!

Jednak, wbrew temu, co napisał poeta, przed czym tak bardzo się bronił, można doszukać się pewnych wspólnych cech dla tych twórców. Trudno oprzeć się wrażeniu, że wynika to właśnie ze szczególnego podejścia do słowa, którego znaczenie poeci ci podkreślali zarówno w warstwie ściśle leksykalnej, jak i ikonicznej oraz metaforycznej, a także spowodowanego bardzo dla nich charakterystycznym oglądem świata, w którym ogromną rolę odgrywają przedmioty. [19]

Tym bardziej więc Darowski „bawi się" słowem, jakby próbował odpowiedzieć na pytanie, które stawia sobie w wierszu *Tylko słowa: Słowa słowa / cóż potrafią słowa?,* penetruje zawarte w nich możliwości znaczeniowe, fascynują go szczególnie wszelkiego rodzaju ekwiwokacje, homonimy, gry słów: *klucz jest od kluczenia i do wykluczenia* (*„Z psychologii klucza"*); *na koturnach-nokturnach* (*„Na schodach"*); *zaróżowił się Różewicz; awangarda-ariergarda („Uroki wagarów"); orient*

zdezorientowany („Moje święcone”); były strofy, antystrofy, katastrofy nie było („*Ikar*”). Uderza w jego wierszach językowa prostota, czasami wręcz „chropowatość” podkreślająca nieufność wobec zastanej rzeczywistości, wobec współczesnej cywilizacji. Świat jest dla niego krainą ułudy, pustki, samotności, w którym nie ma miejsca na człowieka, na jego pamięć i marzenia. Bohater liryki Darowskiego broni się więc ironią i stwarzaniem intelektualnego dystansu wobec opisywanych zjawiskach;

> Bo oto nam ręce parzy
>
> prasłowiański łój
>
> z jego prazapachem łojowej świeczki
>
> kopcącej się w pustej czaszce
>
> z jego niestrawnością
>
> preorganiczną
>
> z jego zwojami tłustych zawiłości
>
> o życiu

> o śmierci
>
> o destylacjach z niezapominajek
>
> o zbawieniu w bursztynie
>
> Orient
>
> zdezorientowany
>
> trochę turkot
>
> trochę turban
>
> piątego koła wozu Europy
>
> Moje święcone

Niepewność dotycząca własnej twórczości towarzyszyła Darowskiemu przez cały czas. Okazało się, że po wydaniu *Drzewa sprzeczki* znów zamilkł na długie lata, a do rozterek natury literackiej doszły jeszcze dodatkowe, o których wspomina w rozmowie z Markiem Pytaszem:

> Życie mnie […] wycofało z życia literackiego. Całe moje pisanie było zawsze na wąskim marginesie wolnego czasu po pracy zawodowej […] Gdzieś około roku 1973 doszło nagle do jakby koniunkcji wszystkich krzywookich ciał niebieskich: kłopoty rodzinne i zawodowe, zdrowotne i z redaktorami, którzy „cenią śmiałą, niezależną myśl", ale tylko w formie błyskotliwych komunałów.***[20]***

Sytuacja ta sprawiła, iż do 1988 roku Darowski niczego nie drukował i może trwało by to znacznie dłużej gdyby nie Florian Śmieja, który zaskoczony ilością wierszy *kiszonych w teczkach****[21]*** zabrał kilkanaście z nich do kraju, gdzie wszystkie zostały wydane w *Odrze* i *Więzi.* Ten niewątpliwy sukces sprawił, iż już w 1990 roku pojawił się dość obszerny tom poezji noszący tytuł *Niespodziewane żywoty* będący nie tylko zbiorem wierszy z ostatnich lat, ale podsumowaniem całej twórczości poety.

Wszystko uczłowieczam / we własną świat ubieram skórę – słowa te mogą stać się swoistym mottem twórczości Darowskiego. To właśnie człowiek był dla niego centralnym punktem kultury, świata. To wokół niego, i w nim samym, tworzy się rzeczywistość. Poeta zdawał sobie sprawę, że nie może on istnieć poza czasem, poza historią, stąd tak wiele w tym tomie znów pytań o człowieka właśnie, o jego miejsce, pamięć, powinności, marzenia i troski. W takim widzeniu świata ważną rolę odgrywa

poezja. Za jej pośrednictwem ujawnia się to, co najbardziej istotne, to, co ludzkie. W wierszu *Humanistą jestem* pisze :

> […] nie wierzę w cuda
>
> wszystko wszystko na tym świecie
>
> człowiek umie stworzyć
>
> Bo jeśli umiał stworzyć tyle piekieł
>
> jakieś niebo w końcu mu się uda

Człowiek, nawet tam, gdzie wydaje się być bezsilny, daleki od spraw współczesnych, bo *nie ma miłości w nakręcaniu świata* (*O tej porze dnia*), i kiedy *wielkie rzeczy dzieją się na świecie* on *wojuje z wiewiórką* (*Wielkie rzeczy*) – to jednak prawie zawsze okazuje się pomostem wiodącym w stronę rozważań aksjologicznych, uniwersalnych. Poezję Darowskiego zdominowały determinanty ludzkiego wpisania w świat, którymi są naturalne ludzkie uczucia, ale także problemy eschatologiczne stawiające człowieka w obliczu śmierci i przemijania:

> Na progu śmierci nie jest znów tak straszno
>
> nie jest zbyt zimno ani zbyt gorąco
>
> Na progu śmierci stoi się jak w wodzie
>
> lżejszy o ciężar wypartego życia
>
> Na progu śmierci stoi się najlżej
>
> gdy nasze życie miało jakąś wagę –
>
> i nie przynosi jej w worku jak złodziej
>
> Na progu śmierci

Poeta zmuszony do poszukiwań swojego miejsca na ziemi zaczyna wątpić w sens swojej poezji pisanej *sam nie wiem dla kogo* (*Pióro*), mając *w języku polskim /pióro […] wieczne*, które *w angielskim byłoby fontanną / piękną fontanną !* (*Wieczne pióro / Fountain pen*), a w konsekwencji przestaje wierzyć w sens swojej egzystencji. Przywołana postawa jest najwyraźniej widoczna w sytuacji wewnętrznego zagrożenia, gdy bycie emigrantem staje

się niemożliwe do zaakceptowania, gdy nie można już powiedzieć, iż *język i życie są jedne* (*Język i życie*). Odsłanianie zagrożeń wewnętrznej swobody jednostki jest jednym ze sposobów manifestowania duchowej postawy poety przejawiającej się buntem przeciwko światu faktów. Kondycja wygnańca sprawia, iż jedyną obroną przed samotnością i wykorzenieniem jest pamięć, wyobraźnia i język – istniejące poza „tu i teraz", pozwalające przyjąć własny los i sprawiające, że staje się możliwe zachowanie swojej tożsamości.

Poezja Jana Darowskiego jest niezmiernie ciekawym zjawiskiem na tle literatury emigracyjnej i, myślę, iż warto jej poświęcić więcej uwagi. Niestety poeta zmarł w Londynie 4 lipca 2008 roku. Można mieć tylko nadzieję, że jego twórczość, zarówno poetycka, jak i translatorska, nie ulegnie zapomnieniu i doczeka się obszerniejszego opracowania.

---

[1] M. Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej,* Wrocław, 1992, s.317

[2] O grupie „Kontynentów" napisano już wiele. Wyjątkowo wiele jak na grupę, która właściwie nigdy nie cieszyła się zbytnią popularnością. Kiedy spoglądamy wstecz trudno nie dostrzec, iż bardziej interesuje krytyków fenomen tej grupy niż twórczość

poetycka jej poszczególnych członków. Na tyle jest to silne, iż wywołuje nieraz głosy sprzeciwu samych poetów, którzy po wielu latach pracy twórczej, wciąż są identyfikowani wyłącznie z początkami swojej literackiej działalności (zob. A. Czerniawski, *Krótkopis,* „Twórczość" , 12, 2000, s. 127-128). A przecież tych osiemnaście osób stanowiących trzon grupy, to, niewątpliwie, zbiór indywidualności – twórcy, którzy pełnię swoich możliwości twórczych osiągnęli wiele lat po rozwiązaniu „Kontynentów". Grupa ta wydała wielu doskonałych poetów, ale też tłumaczy, którzy do tej pory promują, lub promowali, literaturę polską na Zachodzie, a literaturę anglojęzyczną w Polsce. Warto tu wymienić chociażby nazwiska Andrzeja Buszy, Bogdana Czaykowskiego, Adama Czerniawskiego, Jana Darowskiego, Janusza A. Ihnatowicza, Zygmunta Ławrynowicza, Jerzego Sito, Floriana Śmieji, Bolesława Taborskiego.

[3] *Rower jako wzór przyszłej literatury. Z Janem Darowskim rozmawia Marek Pytasz,* [w:] *Londyn – Toronto – Vancouver,* Lublin 1993, s. 65

[4] F. Śmieja, *Czekam na cud. Jan Darowski,* [w:] *Zbliżenia i kontakty raz jeszcze,* Katowice 2007, s. 171

[5] *O historii „Kontynentów" z pierwszej ręki. Rozmowa z Florianem Śmieją.,* rozmawiali Ewa i Marek Pytaszowie, „Odra", 2, 1988, s. 20-24.

[6] Michał Chmielowiec był redaktorem londyńskich *Wiadomości* od 1966 roku do 1974

[7] Cyt. za S. Ożóg, *Zamki klucza. Rzecz o poetyckich wyobraźniach Jana Darowskiego,* [w:]*Poetycki Krąg „Kontynentów". Artykuły i szkice,* pod red Z. Andresa i Jana Wolskiego, Rzeszów, 1997, s. 159

[8] Ibidem

[9] Także Zygmunt Ławrynowicz, Florian Śmieja Mieczysław Paszkiewicz, Bolesław Taborski, Janusz A. Ihnatowicz

[10] Cyt. za: Beata Tarnowska, *Między światami. Problematyka bilingwizmu w literaturze. Dwujęzyczna twórczość poetów grupy „Kontynenty",* Olsztyn, 2004, s.124

[11] *Cena wolności? Dyskusja o języku…*, s. 7

[12] Zob. B. Czaykowski, *[Introduction to Poems of Jan Darowski],* "Modern Poetry in Translation", 1975, nr 23-24, s. 27

[13] Cyt. za: Beata Tarnowska, *Między światami…,* s. 125

[14] J. Darowski, *Kultura, dzieje, język,* „Wiadomości", 1973, nr

1409, s. 2

[15] J. Darowski, *Z notatnika,* „Wiadomości”, 1972, nr 1385, s. 10

[16] . Cz. Miłosz, *Język, narody,* „Kultura”, 1973, nr 9, s. 8

[17] W. Gombrowicz, *Dzienniki 1957-1961,* Kraków, 1988, s. 281

[18] *Różnice między pokoleniami w literaturze na emigracji,* „Kontynenty – Nowy Merkuriusz”, 1960, nr 18-19

[19] Można wymienić tomiki: M. Białoszewskiego, *Obroty rzeczy* (1956), czy Z. Herberta *Studium przedmiotu ,* (1961), wiersz Szymborskiej *Rozmowa z kamieniem*

[20] *Rower jako wzór….,* op. cit., s. 68

[21] Ibidem*.,* s. 72

http://jandarowski.pl/napisano-o-darowskim/79-jan-darowski–poeta-nieznany.html

Lektion der Stille

Jan Darowski

Do smutniejszych odkryć mojego żywota zaliczam odkrycie “Quo vadis?” w języku angielskim. Było to jeszcze w czasach sprzed książki z filmu, już nie pamiętam nazwiska tłumacza. Pamiętam natomiast, że w przekładzie tym pobite zostały aż dwa rekordy: rekord nieznajomości języka polskiego i rekord nieudolności w języku angielskim. Jeśli do tego dodamy kilka drobnych

szczegółów, takich jak to, że tłumaczenie powyższe ukazało się nakładem jednej z najpoważniejszych firm wydawniczych w Anglii, specjalizującej się w klasykach wszystkich krajów i to, że na obwolucie książki jak byk wypisane było, iż mamy do czynienia z „ni mniej ni więcej”, tylko arcydziełem literatury polskiej, to już chyba mamy gotowy obraz literatury w umyśle angielskiego czytelnika. Od tego czasu ta przygoda powtórzyła mi się kilkakrotnie. Lecz jak mówią starożytni, ten kto dobrze leży, najlepszym będzie stoikiem.

Nie jest tajemnicą, że książki polskie tłumaczy się na język angielski nie z oryginału, a z jakiegoś innego tłumaczenia, zazwyczaj francuskiego. Nie było by w tym szczególnego powodu do zmartwienia, gdyby nie to, że na język francuski tłumaczą nas nie paryżanie, a Francuzi warszawscy. Trudno potem spodziewać się, że w języku angielskim wskrzeszony zostanie żywy głos autora polskiego, któremu poderżnięto gardło w języku francuskim.

Gdyby czytelnikowi angielskiemu zaofiarowano przekład na wyżej wspomnianym poziomie, na przykład z Prousta czy Manna, tłumacza wykończyliby natychmiast recenzenci. Ilu zaś recenzentów angielskich podniesie, gdy jest w stanie podnieść, głos w obronie autora polskiego? Ani jeden, gdyż ani jeden nie może sprawdzić rzeczy w oryginale. Dobre wychowanie i wrodzona ostrożność każą im rzecz raczej przemilczeć, bo „a nuż

widelec”. Tak książka wychodzi na rynek, lecz nie dociera do czytelnika, który jak wiadomo rzadko ma swoje gusta i albo czyta na chybił trafił, albo na rekomendacje fachowców. A za nią książka następna i następna, aż gdzieś księgowi wykażą, że to wszystko ginie w próżni i naraża firmę na straty. Zimne poty wychodzą mi na czoło, gdy pomyślę w jakim stopniu książka polska w tym kraju zależna jest już nie tylko od talentu, ale wręcz ludzkiej uczciwości tłumacza. To też, gdy ci zatrąbią, Drogi Czytelniku, że taka a taka powieść polska, ukazała się w przekładach, na tyle a tyle języków, nie żenuj się a zapytaj, w przekładach czyich i z jakiego języka? A gdy dowiesz się, że w odległej Japonii książka polska jest bestsellerem, pomyśl tylko, czy nie dlatego, że zrobiono tam z niej szmirę.

Literaturze polskiej za granicą przeszkadza nie tylko jej spóźnienie dziejowe i jej prowincjonalizm (dobry prowincjonalizm też może mieć swój urok dla kosmopolity – vide, wyłączając Ibsena, literatura skandynawska pięćdziesiąt lat temu) lecz też, i to głównie nasz kompleks niższości, który każe nam stać w kącie z urażoną dumą i czekać, aby obcy do nas pierwsi podeszli. A obcy nie podejdą, bo oni też mają swoje kompleksy. I tak skazani jesteśmy na tłumaczenie siebie samych, co zazwyczaj zaczyna się i kończy upartym twierdzeniem, że literatura polska nie ustępuje żadnej.

Lecz dobra kulturalne, jak każde inne dobra tego świata trzeba

sprzedawać umiejętnie bez fałszywego wstydu i z iście kupiecką dalekowzrocznością. To jest eksport. Panowie, to jak jajka, bekon, konfitury, i na to nie ma rady. Ale szlachetce, który mieszka w duszy polskiego inteligenta, wstydno parać się handlem. On w wiechciach stoi równy królom.

Mówi się zwykle, że nie mamy szczęścia w ogóle, a szczęścia do tłumaczy w szczególności. Powiedzmy sobie od razu: my po prostu nie mamy tłumaczy. Niech mi ktoś wymieni Francuza, albo Anglika, który jest czymś więcej jak szprotką we własnych wodach, a może tłumaczyć z języka polskiego. Tymczasem St. Perse'a wprowadził do języka angielskiego nikt inny jak Eliot. Zgodzimy się chyba, że ułatwiłoby to sprawę nowoczesnej poezji polskiej, gdyby tłumaczyć ją mogli Ted Hughes albo Philip Larkin.

W obecnej sytuacji literatura polska nie może liczyć na takie ułatwienia. Nam trzeba najpierw tłumacza sobie stworzyć, hodować pieczołowicie, a potem ozłacać. Jak się to robi? Parę lat temu przedstawiono mnie pewnemu Anglikowi, „scoutowi" jednej z firm wydawniczych, który, widocznie zmylony moim entuzjazmem do Gogola, wziął mnie za Rosjanina i zaproponował mi, abym tłumaczył coś z literatury rosyjskiej, „preferably post-Gorki". „W tym są niezłe grosze", zapewniał mnie gorąco. A na moje pytanie, czy z prawej kieszeni czy z lewej, powiedział krótko: "Może być z obu". Czegóż prócz z wysoce hipotetycznej

wdzięczności narodu polskiego może spodziewać się tłumacz autorów polskich. A tu trzeba żyć, ślęczeć, dziatki żywić i wedle wzoru: Wer den Dichter will verstehen muss nach Dichter's Lande gehen, podróżować nieco. Przedtem jeszcze trzeba nauczyć się polskiego języka. Lecz gdzie? School of Slavonic Studies? Wolne żarty. Język polski jest tak trudny, nawet dla nieprzeciętnego Anglika, że żadne ambicje akademickie nie wystarczą mu, jako zachęta do głębszego niż po łebkach poznania tej dziwnej plątaniny spółgłosek. Na to potrzebne są bodźce żywe w rodzaju cyganerii studenckiej, dziewczyny, perspektywy kariery. Niechaj tylko uczelnie polskie ufundują stypendia dla Anglosasów, stypendia nie z literatury polskiej albo historii sztuki, a z medycyny, inżynierii itd., a w przeciągu następnego ćwierćwiecza przestaniemy być białą plamą na mapie kulturalnej świata. Zaś przekłady z języka polskiego posypią się jak z rękawa. I to przekłady niewymuszone, nie kupione gdzieś w ciemnej bramie, a wynikające z wewnętrznego zapotrzebowania tłumaczy i być może, jako podświadoma spłata długów wdzięczności. W następnych dwu dekadach ilość kandydatów na miejsca uniwersyteckie w Anglii więcej niż dwukrotnie będzie przewyższała ilość miejsc. Czy ktoś w kraju pomyślał już o wykorzystaniu tej sytuacji? Wątpię. Prawdopodobnie patrzy się na to pod kątem bardziej doraźnie zrozumiałych interesów narodowych. Boć Antka trzeba też gdzieś podszkolić, aby zasilał szeregi Wielkich Niezrozumianych. Tymczasem w tejże Anglii, gdzie tysiące młodzieży nie ma szans

dostania się na wyższe uczelnie, uczelnie te same rezerwują tysiące wolnych miejsc dla studentów zagranicznych. Oni to będą tłumaczyli literaturę angielską na swoje języki i narzecza, otwierając przy tym rynki zbytu i sfery wpływów. Powie ktoś, że Polska jest zbyt biedna na to, aby szkolić obcokrajowców kosztem młodzieży polskiej. Polska jest zbyt biedna na to, aby ich nie szkolić.

Tymczasem my nadal wierzymy, że pomoże nam kategoryczny imperatyw ludzi, którzy nie wiedzą na pewno, jakiego kraju Polska jest stolicą i być może, że wiedzą iż wiele naszych wielkości nie wytrzyma zmierzenia się z obcymi, boimy się prawdziwego tłumacza. Jeśli tak jest, to szkoda, bo liryka polska ostatnich paru lat i sporo przedwojennej na prawdę jest na poziomie. Przewyższa to, co w tym czasie napisano w Anglii i wytrzymuje porównania z liryką amerykańską. Czytelnik i literat anglosaski, nic o tym nie wiedzą, a te fragmenty, które do nich dochodzą traktowane są prędzej jako curioza z uciemiężonego kraju, niż odsetki jakiegoś większego kapitału, a gdy dowiedzą się prawdy, to znowuż będzie za późno.

Wyjątek pod tym względem będą stanowiły Niemcy i dzięki Karlowi Dedeciusowi, którego „Lektion der Stille", antologia nowoczesnej liryki polskiej, jest wydarzeniem pierwszej klasy w historii przekładów z języka polskiego. O Dedeciusu wiem tylko, że urodził się w Polsce i że pracował nad nową antologią liryki

polskiej, zakrojoną na większą skalę. Jedno jest pewne, w Dedeciusu poezja polska znalazła tłumacza na miarę Boya albo Moncrieffa w prozie francuskiej. Nie wiem, jak mu tam nasza ojczyzna pomagała, bo ona woli brać niż dawać, ale szkodą nie do naprawienia byłoby zaprzepaszczenie jego talentu lub zmarnowanie jego dobrej woli w ten czy inny sposób. Mówię to, bo my tu nad Tamizą też mamy swoją „Lekcję ciszy", ale lekcja idzie osobno, cisza osobno.

Recenzja ukazała się w „Kontynentach" nr 43-44 pod redakcją Floriana Śmieji w Londynie w 1962 roku. Posłał ją Dedeciusowi. On w jednym z listów napisał:

> Panu Darowskiemu proszę przekazać specjalny ukłon ode mnie: artykuł jego o tłumaczeniach – nie tylko ze względu na naturalnie miłą dla mnie laudatio, ile ze względu na ogólną ilustrację problemu i związane z nim wnioski – uważam za bardzo dobrze napisany i, jeśli wolno mi się tak wyrazić, mądry.